

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 1 stycznia 1916. Nr. 1.

Druga kampania zimowa.



Austryackie karabiny maszynowe na pozycyi za zasłonami ze śniegu.

OD WYDAWNICTWA.

W ciężkich, przełomowych, zaprawionych krwią i łzami, — a brzemiennych w dziejowe wydarzenia czasach, rozpoczynamy 13-ty rok naszego wydawnictwa. Od sierpnia 1914 r. trwają nieprzerwanie te tytaniczne zapasy, jakich nie było jeszcze w dziejach. Wszystkie najpotężniejsze państwa i narody Europy stanęły do walki o swój byt i swe istnienie, a ta walka, siejąca śmierć i zniszczenie dookoła, krwawą pożogą zalała Polskę... Nie wiemy jeszcze, co nam przyniesie, ale wierzymy, że z naszej krwi ofiarnej, ze zgliszcz i mogił ziemi polskiej musi zabłysnąć świt naszej wolności. Ta wiara każe nam żyć i przezwyciężać wszelkie trudności. Gdy jedni walczą i giną — składając swe życie jako posiew lepszej przyszłości — inni pełnią mniej chlubne, ale przez to może bardziej uciążliwe zadanie żmudnej codziennej pracy — w chwili, gdy wszystko usuwa się z pod nóg. Ta praca, w tak niewdzięcznych i trudnych warunkach, to także ważny i konieczny posterunek, bez którego cały świat stałby się dziś jednem pobojowiskiem.

Takim pokojowym posterunkiem pracy, najbardziej jednak związanym z najgłębszą istotą rozgrywającego się dziś dramatu dziejowego, jest prasa. Choć niepodobna jeszcze ująć perspektywy wydarzeń, choć przyszłość jest zasłonięta mrokiem tajemnicy — prasa jest zwierciadłem tego wielkiego momentu — notuje skrzętnie teraźniejszość, przypomina przeszłość i wyczuwa przyszłość. Jak z tej misyi wywiązały się „Nowości Illustrowane“ w ubiegłym roku wielkiej wojny — wiedzą najlepiej Czytelnicy i Przyjaciele naszego pisma. Wierni dotychczasowym swym zasadom, staraliśmy się w miarę sił i środków być **najdokładniejszem odbiciem wielkiej wojny i jej skutków w Polsce.**

W czasach najcięższych, gdy nieprzyjaciel stał u wrót Krakowa, gdy bieg normalnego życia ustał, zatamowany wszystkiemi okropnościami wojny, **„Nowości Illustrowane“ stały się jedyną na ziemiach polskich illustrowaną kroniką dziejowego przewrotu w Polsce i całej Europie.**

Byłoby rzeczą zbyteczną wyjaśniać, z jakiemi w obecnych, wojennych czasach musieliśmy walczyć trudnościami. Brak personalu, powołanego pod broń, drożyzna, a często zupełny brak materyałów technicznych stawiał nas często w położeniu niemal bez wyjścia, ale jak żołnierze wytrwaliśmy na posterunku!

I dziś rozpoczynamy nowy rok swej pracy w poczuciu spełnionego obowiązku i z wiarą, że i nadal wytrwamy na tej placówce. A musimy tu z dumą zaznaczyć, że w spełnieniu naszego, tak odpowiedzialnego zadania była nie tylko otuchą, ale i realną pomocą **życzliwość szerokich kół polskiego społeczeństwa.**

Mamy też niepłonną nadzieję, że i nadal to poparcie pozwoli „Nowościom Illustrowanym“ wypełnić należycie swą misyę, jako organu, który jest najobjektywniejszem i najtrwalszem, bo uwiecznionem na kliszy fotograficznej **zwierciadłem wielkiej wojny.**

Ufni w to poparcie, jak również gotowi do dalszych wysiłków i ofiar, aby tylko godnie odpowiedzieć zaufaniu, jakiem nas darzą najszersze koła naszego społeczeństwa, nie będziemy pisać zwykłych zapowiedzi prospektowych. Wystarczy, gdy zaznaczymy, że „Nowości Illustrowane“, które wyszły zwycięsko z dotychczasowych ciężkich prób stanu wojennego, dołożą starań, aby w rozpoczynającym się roku stały się przez **pozyskanie nowych korespondentów we wszystkich dzielnicach Polski** możliwie najdokładniejszym i najwszechstronniejszym **obrazem obecnej dziejowej chwili na ziemiach polskich.**

Musimy tu jeszcze podnieść, że pragnąc, aby „Nowości Illustrowane“ były w tych przełomowych czasach **dostępne dla wszystkich** — nie poszliśmy za przykładem innych wydawnictw i **nie podwyższamy ceny pisma,** jakkolwiek papier i wszystkie materyały podrożały obecnie **w dwójnasób, a nawet w trójnasób.** Nie wątpimy też, że najszersze sfery ocenią nasze intencye **i nie będzie domu polskiego,** w którym nie znalazłaby się **ta illustrowana pamiątka wielkiego momentu dziejowego, jaką są i będą „Nowości Illustrowane“.**

Druga kampania zimowa.

(Do illustracyi tytułowej).

Jedną z największych niespodzianek, jakie zgotowała obecna wojna, jest długi czas jej trwania. Nikt nie przypuszczał, aby współczesna, wojna wyposażona w tak mordercze narzędzia walki i połączona z tylu trudnościami i kosztami, mogła trwać długo. Przeciwnie, oczekiwano, że skończy się w ciągu kilku najdalej miesięcy. Niestety, przewidywania te okazały się zwodniczemi. Po 15 miesiącach nieustannych walk rozpoczęła się nowa, druga kampania zimowa — choć na początku wojny trudno było przypuścić, by milionowe armie miały i drugą jeszcze zimę spędzić na polu walki, gdy czyhają nowi groźni wrogowie — mróz, śnieg i zawieje. Lecz i do tego wroga armie już się przystosowały. Zabezpieczone od zimna okopy posiadają piecyki, a śnieg służy często do ukrywania pozycyi przed nieprzyjacielem. Tytułowa nasza illustracya przedstawia właśnie austryackie karabiny maszynowe przy pracy — na pozycyi osłoniętej śniegiem.



Gwiazdka na dworcu w Krakowie: Drzewko dla przejezdnych żołnierzy na peronie. (X) Komendant dworca nadpor. Kumaniecki, (XX) nadpor. dr. Gertler.

Wigilia Legionistów w Krakowie.

Już drugie święta Bożego Narodzenia minęły przy szczęku oręża — wśród toczącej się nieprzerwanie wojny. Drugą wigilię tylu blizkich nam i drogich sercu naszemu przepędziło nie w gronie rodzinnem, lecz na polach bitew — w obliczu nieprzyjaciela. Tem większą też była radość, gdy okoliczności pozwoliły niejednemu z bojowników przepędzić te uroczyste święta wśród swoich. Przyjmowano ich radośnie jako podwójnie drogich nam gości z pola walki.

W roku obecnym Kraków miał możność w czasie świąt minionych gościć w swych murach liczną rzeszę Legionistów, przebywających tu na kuracyi, na wypoczynku lub bawiących chwilowo. Dla tych sympatycznych gości urządzono też wspólną wigilię w gmachu Sokoła, która stała się imponującą uroczystością. Już około godziny dwunastej Legioniści zaczęli napływać do pięknej sali „Sokoła“ pojedyńczo, grupami lub całymi oddziałami, rannych przywieziono karetkami. Sala była pięknie przystrojona:

naprzeciw głównego wejścia stała duża choinka; nad nią, w przybraniu draperyi czerwono białych i zieleni, wielki biały orzeł. Stoły ustawione rzędami, przybrano zielenią. Przy każdem nakryciu opłatek i „gwiazdka“, to jest torebka z rozmaitymi upominkami i słodyczami.

Obowiązki gospodarskie pełniło, z pomocą komitetu obywateli krakowskich, grono pań z sekcyi szpitalnej Ligi kobiet pod przewodnictwem pań Stanisławowej Steinowej, Błotnickiej, Tokarzowej i Markowej. Rolę gospoparzy pełnili pp. Witold Ostrowski, Rolle, dr. Stanisław Stein, Szydłowski. Na bocznej

Przemawiał następnie wiceprezydent miasta Nowak na cześć weteranów r. 63. Wśród serdecznego nastroju zabrzmiały pieśni żołnierskię: „Jak to na wojence ładnie“, i szereg innych, śpiewanych przez Legionistów. W przerwach zabierali głos: pp. Chronowski, Benedyktowicz, superarbitrowany Legioni-



Fragment z okopów I. brygady.



Szlakiem bojowym Legionów: Artylerya VI. pułku przed wyruszeniem w pole. (Fot. Dep. Wojsk).

Sala zapełniła się szybko. Honorowe miejsce zajęli: kapelan „Sokoła“ X. gwardyan Janicki i X. Haduch T. J., obok prezes N. K. N. prof. dr. Wł. L. Jaworski, wiceprezes Koła polskiego i wiceprezes N. K. N. dr. German, wiceprezydenci m. Krakowa dr. Nowak, Zoll, Maryewski, członkowie komitetu N. K. N. reprezentanci „Przytuliska“ weteranów z 1863 roku pp. Chronowski, dr. Jodłowski, Stanisław Krzyżanowski, Benedyktowicz; oficerowie Legionów, grono zaproszonych krakowskich obywateli i pań, a między niemi pp. Hermanowa, Hausnerowa, hr. Krasińska, prezydentowa Leowa, hr. Mycielska, hr. Szeptycka, pułkownikowa Zielińska. Na sali było około 700 Legionistów rannych, superarbitrowanych lub bawiących chwilowo w Krakowie.

galeryi zebrała się również liczna publiczność, a na wielkiej galeryi chór pod dyrekcyą Stanisława Bursy.

W uroczystym nastroju przystąpiono do łamania się opłatkiem i złożenia życzeń. Pierwszy zabrał głos prezes N. K. N. Jaworski, dając wyraz tym uczuciom i życzeniom.

Po przemówieniu prezesa Jaworskiego rozległy się oklaski, a chór wykonał poloneza i kolendy. Następnie zabrał głos ks. gwardyan Janicki, który swe przemówienie zakończył życzeniem: „Legioniści! Obyście ujrzeć mogli wolną Polskę i dla niej setne lata mogli pracować“.

Wzniesiono wśród oklasków trzykrotny okrzyk: Niech żyją! a chór i zgromadzeni odśpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła“.

sta Gościszewski, i inni. Wznoszono okrzyki na cześć brygadyera Piłsudskiego, pułkowników Januszajtisa i Roi, oraz komitetu Ligi kobiet. Odczytano piękny list hr. Jerzego Mycielskiego, prezesa komitetu gwiazdkowego, zawierający gorące wyrazy życzeń dla Legionistów.

Gwiazdka na dworcu w Krakowie.

W komendzie krakowskiego dworca kolejowego urządzono dla żołnierzy tam zajętych wieczerzę wigilijną.

Około godziny piątej wieczorem zastawiono w koszarach komendy przy ulicy Lubicz długi stół z po-



Wigilia dla Legionistów w Krakowie: Fragment sali „Sokoła“ podczas wigilii.



Szlakiem bojowym Legionów: Okopy w zimie. (Fot. Dep. Wojsk.)

darunkami dla żołnierzy i drzewko. Wzdłuż stołu ustawili się żołnierze. Na uroczystość przybył komendant dworca nadporucznik dr. Kumaniecki z oficerami dr. Gertlerem, Radwańskim i Konecznym,

Komendant dworca przemówił krótko, poczem łamał się opłatkiem z obecnymi. Po uroczystości zasiedli żołnierze do wieczerzy wigilijnej, urządzonej staraniem oficerów komendy dworca.



Z Departamentu Wojskowego N. K. N.: Raport oficerów werbunkowych w Piotrkowie. Przy stole siedzą szef Dep. Wojsk. Sikorski i kierownik biura prasowego Dep. Wojsk. dr. Kot.

zjawili się również szef inspektoratu kolei północnej p. Potuczek, naczelnik dworca towarowego p. Krug i lekarz kolejowy dr. Czerny Schwarzenberg.

Także i na peronie kolejowym urządzono trzy piękne drzewka dla przejeżdżających żołnierzy. Zajęły się tem panie z polskingo Związku niewiast katolickich, które obdzielały przejeżdżających podarunkami. Jedna z pań przemówiła serdecznie do żołnierzy, poczem zabrzmiała kolenda polska, po niej pieśni niemieckie, czeskie i węgierskie, przy których tonach ruszał każdy pociąg w dalszą drogę.

Z Departamentu Wojskowego N. K. N.

W dniu 12 grudnia r. b. odbył się w Departamencie Wojskowym N. K. N. w Piotrkowie raport oficerów werbunkowych. Stawili się wszyscy oficerowie rozmieszczeni w siedzibach c. i k. Komend Obwodowych w Królestwie. Przybył również dele-



Gwiazdka na dworcu w Krakowie: Wigilia w koszarach komendy dworca krakowskiego. (X) komendant dworca nadpor. Kumaniecki.

gowany ad hoc przez c. i k. Komendę Grupy oficer Legionów dr. Pawłowski.

Zaznaczyć trzeba, że akcyą werbunkową do Legionów Polskich na terenie okupacyi austryackiej kieruje Departament Wojskowy N. K. N. przez szefa swego podp. Wł. Sikorskiego. Kierownikiem Centralnego Biura Werbunkowego Departamentu Wojskowego N. K. N. jest p. Piotr Górecki, jego zastępcą jest p. Jan P. koski. Wydawnictwa agitacyjne Centralnego Biura Werbunkowego znajdują się pod redakcyą dr. Stanisława Kota, kierownika Biura Prasowego Departamentu Wojskowego N. K. N.



(Fot. Dep. Wojsk.) Karabin maszynowy przy pracy.



Szlakiem bojowym Legionów: Zwłoki poległego Legionisty na pobojowisku w Lubelskiem.

WSZYSTKO Z BOŻĄ POMOCĄ.

Z obrazków rosyjskich.

Matrena Akimowna szlochała, obcierając sobie grube krople łez zatłuszczonym fartuchem:

— Oj! Ja nieszczęsna! — jęczała — Synku mój, gołąbku, jedynaczku, zabrać mi ciebie chcą. Przed komisyę pójdzie, wezmą go na wojnę... Och! ta wojna! ta wojna! Żeby nie ona, toby Pietrusza do wojska nie szedł, jednak przecież... Ja tego nie przeżyję!...

Głośniej jeszcze szlochać poczęła. Syn, wysoki, barczysty, trochę ciężki i niezgrabny parobczak, o pucołowatej, jak księżyc w pełni i czerwonej, jak burak, twarzy spoglądał na matkę głupkowato i kiwał żałośnie głową. I jemu nie chciało się odchodzić z tej dostatniej, ciepłej chaty ojcowskiej — na niepewną dolę żołnierską.

Anton Timofiejewicz Skorobiew, gospodarz chaty, jeden z najbogatszych włościan we wsi, wzdychał raz po raz, jakby do wtóru szlochaniom i narzekaniom żony.

Matrena Akimowna przestała nagle płakać i zamyśliła się. Po chwili zwróciła się do męża i zadecydowała energicznie:

— To tak zostać nie może, Anton Timofiejewicz, musimy ratować nasze dziecko! Załóż natychmiast konie do sanek i jedź do felczera, do Piotra Maksymowicza Skotkina! Taki felczer to przecież uczony, do niego ludzie chodzą, jak procesyą, dla niego nawet pół rubla mało za wizytę, on musi znać jakiś środek na uwolnienie od wojska... Zapłać mu wiele zechce, a niech ci poradzi... Spiesztа, Anton Timofiejewicz...

Anton Timofiejewicz uznał widocznie radę żony za słuszną i rozumną, bo natychmiast bez słowa protestu wyszedł zaprzęgać konie do sani.

— — — — — — — — — — — — —

Skorobiew zatrzymał konie przed narożną kamieniczką piętrową, na bramie której widniał szyld z napisem:

PIOTR SKOTKIN FELCZER.

Felczer, zobaczywszy przez okno Skorobiewa, wybiegł ku niemu, radośnie witając dobrego znajomego.

Bogaty chłop był pożądanym gościem, można było zawsze od niego rubla, dwa lub nawet więcej zarobić...

To też Skotkin uprzejmie wprowadził Antona do pokoju, podsunął mu krzesło i postawił na stole butelkę „oczyszczonej“.

— Dzisiaj zimno, Antonie Timofiejewiczu, zagrzejmy się! W twoje ręce.

— Dziękuję, Piotrze Maksymowiczu!

Chłop wypił, otarł usta, poczem zabrał się do wyłuszczania sprawy, z którą przyjechał.

— Piotrze Maksymowiczu, ja dzisiaj u was w specyalnej sprawie. Przyjechałem prosić o radę. Mój syn musi w przyszłym miesiącu stawać do przeglądu wojskowego...

— Aha! — skinął głową felczer na znak, że rozumie — tybyś go pewnie chciał wykręcić?

— Rozumie się, duszeńko, przecież to mój jedynak. W domu tyle bogactwa, tyle wszelakiego dobra, na cóż jemu służba wojskowa, na co wojna? Na wojnie strzelają, tam i zabić mogą! Tylko że chłopak, jak na złość tłusty, czerwony, że rozkosz spojrzeć na niego. Ot! popatrzysz, a zdaje się, że mu krew tryśnie z twarzy... Piotrze Maksymowiczu, nie znacie wy jakiego środka, któryby nadawał wygląd chorowity! Możeby mu krwi trochę upuścić, może dać na przeczyszczenie, a może wyrwać kilka zębów na przodzie.

Felczer przecząco potrząsał głową.

— Nie! Antonie Timofiejewiczu! To nic nie pomoże! Takiego środka niema! Mówię ci to ja, człowiek uczony ze studyami! Możesz mi wierzyć!

Chłop westchnął.

— W takim razie pójdę do aptekarza, a jak on nie poradzi, to i do doktora!

Felczer skoczył jak oparzony!

— To ty mnie nie wierzysz?! Do aptekarza chcesz iść, do doktora! Ja takie same studya odbywałem, ja więcej od nich umiem, tylko że ja ludzi zdzierać nie chcę, to za wizytę mniej biorę! Doktór nagryzmoli coś na papierku, weźmie dwa ruble — potem jeszcze drogo zapłać aptekarzowi, żeby ci dał takiego lekarstwa, od którego na dobre zachorujesz! A ja? Pół rubla wezmę, poradzę i chorobę jak ręką odjął! Pokaż mi ty, żeby doktór miał taką szafę z narzędziami, jak ja mam! Ot! popatrz!

Skotkin poskoczył ku oszklonej szafce, otworzył ją i szerokim gestem ręki wskazywał na ustawione na półkach przyrządy.

Znajdowały się tam kleszcze starodawne do wyrywania zębów, maszynka do puszczania krwi, kilka słojów z pijawkami, pendzle do lapisowania gardła, bańki, rozmaite nożyce i nożyczki, nożyki do wycinania odcisków, ogromne szpryce i wiele innych tego rodzaju instrumentów.

Widok tak namacalnych dowodów wiedzy lekarskiej Piotra Maksymowicza olśnił oczy chłopa. Spokorniał i skrobiąc się w głowę rzekł, zafrasowany:

— No, ja wiem, Piotrze Maksymowiczu, że wy człowiek mądry i uczony! Ale widzicie... ja przecież chcę ratować dziecko moje rodzone!

— Ja na wszystko mam radę! — zawołał tryumfująco felczer — Ja tylko oszukiwać cię nie chciałem zachwalaniem jakiegoś środka, któryby żadnego nie miał skutku. Ale daj mi dziesięć rubli, a ja ci wskażę człowieka, który ci syna uwolni.

Skorobiew z niedowierzaniem spojrzał na felczera.

— Więc jest taki człowiek?

— A jest! Powiem ci, jak się nazywa, gdzie mieszka, tylko... dziesięć rubli na stół, Antonie Timofiejewiczu!

— Drogo, duszeńko, drogo! Nie możnaby taniej trochę?

— To ty się będziesz targował, kiedy chodzi o życie twojego syna! Wstydź się, Antonie Timofiejewiczu, przecież każdemu wiadomo, że u ciebie pieniędzy jak lodu!

Chłop widząc, że felczer nie ustąpi, wyciągnął skórzany woreczek z pieniędzmi i wyjął z niego banknot dziesięciorublowy, który natychmiast zginął w przepastnej otchłani felczerskiej kieszeni.

— Mój przyjaciel, Iwan Pieczorkow, już niejednego od wojska uwolnił! — zaczął Skotkin — Ja cię do niego zaprowadzę. Jeżeli kto uwolnić może człowieka, to tylko on. On żyje w przyjaźni ze starszym lekarzem — naturalnie nie otwarcie, tylko potajemnie, boby to psuło cały interes!

— Cóż on robi właściwie?

— Nic, właśnie, że nic! Ty mu dasz dwieście rubli, a on szepnie słówko tam, gdzie należy i sprawa skończona!

Chłop skrzywił się na wzmiankę o dwustu rublach. Felczer spostrzegł to i pospieszył go uspokoić.

— Iwan jest człowiek uczciwy, do gruntu uczciwy! Widzisz, czasem zdarza się, że chłopak jest zanadto zdrów i silny, a batiuszka car chce go koniecznie zatrzymać w swojej armii... W takim razie Iwan odda ci twoje dwieście rubli co do jednego, ani grosza nie będzie brakowało...

Ostatnie słowa trafiły chłopu do przekonania.

— Dobrze! dobrze! — rzekł — gdzie mieszka ten człowiek?

— O daleko! aż na przedmieściu! Ale ty masz przecież swoje sanki, pojedziemy do niego razem.

Felczer włożył futro z kołnierzem dość licho imitującym fokowy, poczem obaj wyszli i wsiedli do sanek.

Sanki pomknęły przez ośnieżone ulice ku mieszkaniu Pieczorkowa.

Przed małym, nizkim domkiem na przedmieściu kazał felczer zatrzymać konie i zaprowadził chłopa do Iwana Pieczorkowa, małego, niepokaźnego staruszka o łagodnym, dobrodusznym wyrazie twarzy.

Pieczorkow spokojnie, poważnie, gładząc swoją długą, siwą, w pierścienie wijącą się brodę, wysłuchał prośby Skorobiewa, poczem rzekł:

— Zrobię, co będę mógł, Antonie Timofiejewiczu! Ale to kosztuje dwieście rubli! Jeżeli syn twój tak spodoba się batiuszce-carowi, że go nie pozwoli uwolnić — to dostaniesz te pieniądze z powrotem.

Potem przyniósł grubą księgę i zapisał starannie wszystkie daty i potrzebne szczegóły, tyczące się syna Antona Timofiejewicza.

Chłop z uszanowaniem spoglądał na księgę, przekonany jak najmocniej o potężnych wpływach Iwana Pieczorkowa.

Kiedy Skorobiew i Skotkin powracali, felczer zawołał z tryumfem:

— A co, nie mówiłem ci?! Mój przyjaciel Iwan to człowiek! Wysłucha cię, szepnie słówko tam u góry i rzecz załatwiona!

Chłop podziękował felczerowi za dobrą radę i obiecał mu przywieźć w podarunku tłuste cielę, jeżeli sprawa przyjmie szczęśliwy obrót.

Dzień stawienia się przed komisyą nadszedł.

Skorobiew sam osobiście odwiózł syna saniami do miasta i udał się jeszcze raz do Iwana Pieczorkowa, który go uspokoił słowami:

— Nie obawiaj się, Antonie Timofiejewiczu, zrobiłem co się tylko dało! Oprócz twojego, trzydziestu jeszcze innych mam ochraniać! Wszystko będzie dobrze z Bożą pomocą!

Skorobiewa czekało srogie rozczarowanie. Syn jego został uznany za zdolnego do broni i przydzielony do konnicy.

Zrozpaczony i rozgniewany ojciec pobiegł, jak szalony, do Pieczorkowa, aby go obsypać gorzkiemi wymówkami...

Staruszek spokojnie począł perswadować:

— Nie dało się, Antonie Timofiejewiczu, nie dało się absolutnie. Dlaczegóż masz takiego zdrowego, krzepkiego syna, przecież on jest silniejszy, aniżeli wszyscy inni, którzy razem z nim stawali...

Rozżalony ojciec spojrzał na przyjaciela starszego lekarza trochę niedowierzająco, mile jednakowoż pogłaskany jego pochlebnemi słowami...

— Tak, tak! — ciągnął dalej Iwan — doktór sam mi to mówił! Wania powiedział mi: piętnastu mogłem ci uwolnić, ale młodego Skorobiewa musi mieć batiuszka-car w swojem wojsku! To chłop wspaniały, mocny jak dąb, rosły jak topola! Takich mamy niewielu, to będzie ozdoba pułku! Straciłbym moją rangę, gdybym go uwolnił! Co nie można, Antonie Timofiejewiczu, to nie można. Masz tutaj twoje dwieście rubli!

Kiedy Pieczorkow wyliczył na stół dwieście rubli i jeszcze postawił butelkę wódki, chłop pocieszył się i uczuł w sercu dumę z powodu tak zdrowego, krzepkiego syna.

Odtąd Skorobiew sławił wszędzie wpływy i uczciwość, szczególnie uczciwość Iwana Pieczorkowa, przyjaciela starszego lekarza i polecał go wszystkim znajomym, którzy mieli synów w wieku popisowym lub mogli sami być powołani do wojska.

Przyszły nowe powołania, nowe terminy przeglądów — chłopi skwapliwie korzystali z rad Skorobiewa i... interes Iwana Pieczorkowa rozkwitał w najlepsze.

Pewnego dnia okrągła, pulchniutka Wiera Iwanówna, córka Pieczorkowa, zjawiła się w jego „biurze“ i rzekła:

— Ojcze, musisz coś zrobić dla mojego Saszy! On także ma wkrótce stanąć do przeglądu! Pomów więc wcześnie z twoimi przyjaciółmi.

— Wieruszka, gołąbko moja — rzekł łagodnie staruszek — ufajmy, że Bóg nie dozwoli, aby nasz Sasza był żołnierzem! Wszystko z Bożą pomocą będzie dobrze!

Wiera Iwanówna żywo podniosła głowę:

— Jakto z Bożą pomocą! No tak! Niech będzie pochwalone święte Imię Jego, ale przecież ty sam także możesz dopomódz!

Pieczorkow wstrząsnął przecząco głową:

— Nie!

— Jakto, nie?! — zawołała zdumiona córka — Czyż nie wiem o tem, że uwolniłeś tylu bogatych chłopów i dużo razy po dwieście rubli zarobiłeś, a teraz nie chcesz użyć swoich wpływów dla rodzonego wnuka?!

— Wieruszko, duszeńko, usiądź i posłuchaj! Wszystko ci wyjaśnię.

Gwałtem posadził córkę na krześle i rzekł:

— Dotychczas nie mówiłem ci nic, bo cię to wcale nie obchodziło, ale teraz, kiedy idzie o naszego Saszę, muszę powiedzieć ci prawdę. Ja go nie mogę uwolnić! Ja tego nie mogłem zrobić nigdy i dla nikogo!

Ty wiesz, że ja zawsze żyłem uczciwie i bogobojnie, pracowałem ciężko i co z tego miałem? Biedę! Kiedy wybuchła ta wojna, Bóg natchnął mnie myślą, wspaniałą myślą. Powiedziałem sobie: Iwanie! tu jest złoty interes do zrobienia! To się musi udać! No i udało się...

— Jakto, przecież dopiero w zeszłym tygodniu uwolniłeś dziesięciu chłopów wiejskich i zarobiłeś ładną, okrągłą sumkę?!

— Komisya uwolniła ich, więc ja dostałem pieniądze! Taka była wola Boża! Widzisz, Wieruszka, przy przeglądzie nigdy wszystkich nie biorą! Jeżeli doktór uznał którego za niezdatnego, to głupi chłop myślał, że to ja go uwolniłem i ładny grosz wpadał mi do kieszeni. Wzięli! — no to się mówiło, że chłopak był zanadto zdrów i mocny i oddawałem pieniądze! Widzisz, że to śliczny interes — nikomu nie szkodzi, a mnie pieniążki płyną jak woda!...

— Więc ty, ojcze — zapytała Wiera Iwanówna — nie znasz nikogo z wpływowych osobistości? Starszy lekarz nie jest twoim przyjacielem?

— Nie znam żadnego starszego lekarza, wogóle nikogo! Z Bożą pomocą zarobiłem tyle pieniędzy. Bóg, jeśli zechce, dopomoże naszemu Saszy!

Wiera Iwanówna podniosła do oczu chusteczkę i poczęła gwałtownie szlochać.

Tłumaczyła: *M. J. M.*



Zamek w Podhorcach uratowany: Zewnętrzny widok zamku w Podhorcach od strony północnej.

Zamek w Podhorcach uratowany.

W czasie szalejącej burzy wojennej zamek w Podhorcach budził poważną troskę w sercach wszystkich miłujących przeszłość, narodowe pamiątki i sztukę, tembardziej, że w prasie krakowskiej pojawiały się wiadomości, a nawet artykuły, donoszące o zupełnem zniszczeniu tej pamiątki przez Rosyan. Na szczęście pogłoski te okazały się nieprawdziwe, co stwierdza w nadesłanym nam artykule zarządca zamku ks. Sanguszków w Podhorcach, p. Marcin Grabikowski. W artykule tym, który jest cennym przyczynkiem do dziejów wojny w Galicyi, p. Grabikowski przedstawia z gorącem uczuciem patryotycznem niepewne losy zamku w czasie inwazyi rosyjskiej, wypowiadając przytem wiele pięknych myśli.

Z serdeczną radością donoszę — pisze p. Grabikowski — że zamek książąt Sanguszków w Podhorcach koło Złoczowa, ten jedyny prawie na kresach klejnot narodowy, jaśniejący wspomnieniem chwały z czasów Koniecpolskich, Sobieskich, stoi dotąd cały, nienaruszony z bezcennym swym zbiorem pamiątek przeszłości. Ciężkie nad wyraz przeżyłem chwile gnębiony troską o los zamku, który w łunach blizkich pożarów drżał od huku dział, ale Matka Boska Chełmska, która z murów zamczyska patrzy w cztery świata strony, wysłuchała żarliwych naszych modłów, odtrąciła niszczycielską rękę wojny, ocaliła dla nieszczęsnego narodu skarbnicę jego promiennych wspomnień, by czerpał z niej otuchę, wytrwanie i wiarę w jasne jutro.

Bogu z serca dziękuję, że nie uległem powszechnej panice, nie dałem się porwać bystrej fali uciekających i zamku nie opuściłem.

Dnia 24. sierpnia z. r. z zamkowej terasy, u stóp której rozkładają się bezkresne pola aż ku granicy — patrzyłem na wlewające się w kraj morze wojsk rosyjskich. We wsi i w zamku cisza i pustka. Przeważna część ludności ukryła się w najgłębszych tajniach lasu. Na olbrzymie szeregi obcych wojsk zbliżające się ku Podhorcom spoglądało dwóch starców: jeden dostojny, wyniosły, ciężar wieków dźwigający, chwałą przeszłości i skarbcem swym dumny — zamek, drugi — maluczki, strażnik pierwszego i jego czciciel — obaj losu swego niepewni.

Po przejściu patroli zajechał do zamku generalny sztab XI. korpusu i zaraz na wstępie powiedziano mi, że obecność moja zaważyła wiele na losach zamku. Na moje gorące prośby, aby szanowano zbiory i nie używano sal muzeum na wojskowe kwatery, wydano następujący rozkaz, którego kopię natychmiast umieściłem na bramie zamkowej i drzwiach wiodących do muzeum.

Rozkaz ten, napisany po rosyjsku, w dosłownym przekładzie brzmi, jak następuje:

„Komendant XI. ar. korpusu nakazuje, aby na pierwszym piętrze zamku w Podhorcach, w salach, gdzie mieści się muzeum i kaplica mające historyczne znaczenie, nie urządzano kwater wojskowych".

Generał-major Sulkiewicz.

Od dnia wkroczenia armii rosyjskiej rojno było w zamku i gwarno, ale nad nami zawisła ciężka chmura niepewności.

Komnaty parteru zajmowano kolejno to na kwatery dla sztabów genelanych XI. i XXII. korpusu, to dla komendy etapowej i „uriadników" policyjnych. Oddziały wojska, treny i tak zwane „parki" artyleryjskie zapełniały dziedziniec i park zamkowy. Tysiące koni rżało pod prastaremi lipami, na polanach bieliły się liczne namioty, suszyły się skóry zabitych wołów, pracowały warstaty szewskie, stolarskie, dźwięczały młoty kowalskie, żołnierze, rozochoceni brzękiem teorbanów, zawodzeniem fletów i chrapaniem harmonijek różnego rodzaju, wytupywali kozaka, gwiżdżąc i wykrzykując, a cały ten obraz spowijały kłęby dymu z kuchni polowych, tumany pyłu, rój much, opary przeróżnych wyziewów.

Dzień 23. czerwca zapisał się głęboko w mej pamięci. Jechałem w on dzień do Brodów do generał-gubernatora hr. Bobrińskiego z prośbą o „list żelazny" dla zamku, wśród oddziałów kozaków, wśród setek fur trenu i uciekającej ludności, wśród szeregu automobilów. Dzięki staraniom szlachetnego podpułkownika hr. Adama Rzewuskiego z Ukrainy, otrzymałem od hr. Bobrińskiego upragniony „list żelazny", który w dosłownym przekładzie brzmi jak następuje:



Zamek w Podhorcach uratowany: Zewnętrzny widok zamku w Podhorcach od strony południowo-zachodniej

„Wojenny Generał-Gubernator Galicyi.

10. czerwca 1915 r. Nr. 30442, Lwów.

Niniejszem pismem wydanem zarządzającemu zamkiem w Podhorcach rozporządza się, aby przedmioty znajdujące się w zamku, a mające historyczne znaczenie, nie podlegały konfiskacie i sekwestrowi.

Prosimy wojenne i świeckie władze przyjąć udział w ochranianiu i szanowaniu zbiorów zamkowych.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Adjutant graf Bobrinskj".

W dwa dni później wysłannik głównego wodza wydał mi następujący dokument (w języku rosyjskim):

12. czerwca 1915 r. Nr. 4.

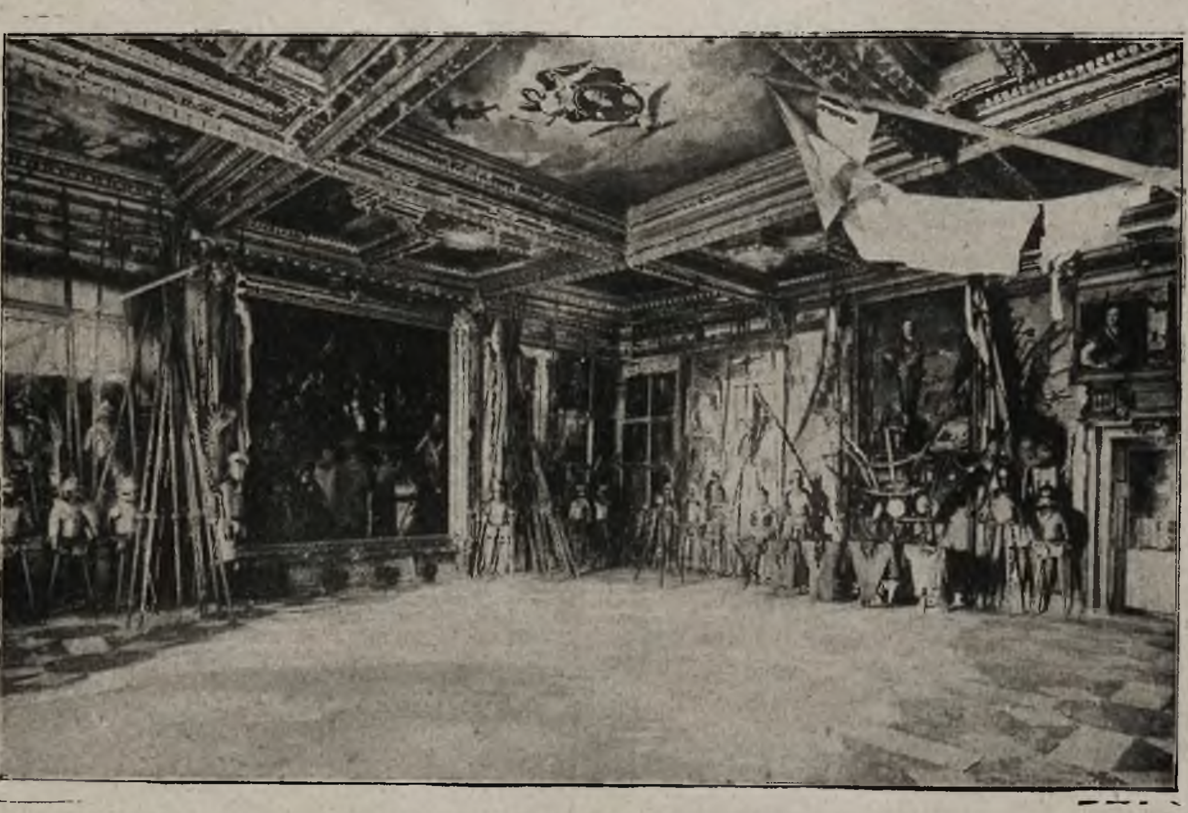
„Zarządzającemu zamkiem w Podhorcach Marcinowi Grabikowskiemu.

Z powodu znajdujących się w zamku Księcia Sanguszki muzeum i kaplicy, mających historyczne znaczenie, proszę wojskowe władze przyjąć udział w ich ochranianiu.

Rozkaz Zwierzchniego Główno-dowodzącego Nr. 65. i rozkaz frontu Nr. 222.

Podpisał: zarządzający kancelaryą do zbierania wojenno-historycznych dokumentów

Porucznik Owczinnikow".



Zamek w Podhorcach uratowany: Sala rycerska.

Nakaz przyniósł pożądany rezultat, bo jakkolwiek od dnia 30. sierpnia po 5. listopada mieściły się w zamku kolejno trzy komendy etapowe i przebywało nieraz po kilkuset żołnierzy, którzy kwaterowali bądź w kazamatach zamkowych, bądź w pokojach parterowych pod słynnymi namiotami z pod Wiednia i Chocimia, pomimo to, nic ze zbiorów oglądanych tłumnie nie zostało uszkodzone.

Przy końcu sierpnia kozacy opuścili zamek, zrobiło się naraz pusto wokół, a cicho jak przed burzą. zdawało się, że w powietrzu zawisło ciężkie, trwożne oczekiwanie... Po krótkiej ciszy ozwało się znów granie armat coraz głośniejsze, coraz bliższe; nocą ukazywało się w dali światło reflektorów, czasem szeroka smuga światła wysrebrzyła omszałe mury, czasem zaróżowiła niebo łuna odległego jeszcze pożaru. W ostatnich dniach sierpnia od huku dział wstrząsał się zamek i głośno dźwięczały szyby, tak, że wielu marsowych rycerzy, pięknych dam, a nawet mitologicznych bogów i herosów schroniło się w sklepionych salach parteru, bo z obawy przed jakim zbłąkanym pociskiem kazałem poznosić na dół cenne portrety i obrazy. Komnaty pierwszego piętra zostały ogołocone, smutne, tylko w rycerskiej sali król Zygmunt III. wraz z Żółkiewskim patrzyli niewzruszeni na stojących przed sobą więźniów z pod Kłuszyna, (ogromny obraz pędzla Dollabeli), tylko wśród grania dział i brzeszczotu karabinów maszynowych blaski coraz bliższych pożarów rzucały na ciemne puste ściany sal złociste i krwawe refleksy. Dzisiaj obrazy wszystkie wróciły na swoje dawne miejsca. W noc ostatniego sierpnia, w jasną od pożarów noc, zaroiło się w parku od rosyjskiego wojska, od północy do świtu oprowadzałem oficerów po zamku, bo jak mówili: „żal przechodzić przez Podhorce, a nie widzieć sławnego zamku".



Galicyjskie Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża: Szpital Czerw. Krzyża w Nowym Targu (pawilon oficerski).

Nad ranem opustoszał i zamek i ogród, tu i ówdzie, gościńcem, wsią lub polną drożyną pędziły gromady Czerkiesów w stronę Brodów, przed południem 1. września pojawiła się pierwsza austryacka patrol, a popołudniu tego dnia, w blaskach jesiennego słońca, stary zamek powitał zwycięzców. A teraz stoi znów cichy, zadumany — patrzy w przyszłość, zdumiewa się nad teraźniejszością. Może marzy o ukojeniu polskich tęsknot, o urzeczywistnieniu polskich pragnień.

Marcin Grabikowski
zarządca zamku ks. Sanguszków w Podhorcach.





Szpital Czerw Krzyża Nr II. w Białej. Galicyjskie Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża: Szpital Czerw. Krzyża Nr. III. w Białej.



Galicyjskie Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża: Szpital Czerw. Krzyża w Nowym Targu (budynek główny).

Galicyjskie Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża.

W szeregu krajowych Stowarzyszeń Czerwonego Krzyża monarchii, nasze galicyjskie było tem, któremu przypadła rola najcięższa. Wynikło to z położenia geograficznego kraju i z biegu wypadków.

Już w przededniu wojny, jakby w przeczuciu oczekujących go zadań, nasze Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża rozwinęło żywszą, niż kiedykolwiek działalność. Datuje się to zwłaszcza od chwili ostatniego walnego zgromadzenia odbytego we Lwowie w styczniu 1913, kiedy godność prezydenta na wniosek J. Exc. Bobrzyńskiego złożono w ręce księcia Pawła Sapiehy.

Nieruchomy majątek Stowarzyszenia reprezentowany przez wielki teren na obwodzie miasta Lwowa, powiększył się przez nabycie za cenę 600.000 kor. znanego domu zdrowia dra Soleckiego i przyległych mu gruntów — ruchomy zaczął się szybko wzmagać, dzięki napływającym darom i wkładkom nowych członków.

Przy sanatoryum założono wzorową szkołę pielęgniarską. Około tych widomych przedmiotów pracy zaczęły się gromadzić coraz liczniejsze koła osób dobrej woli, a oddany sprawie Wydział, złożony z dwudziestu pań i dwudziestu panów, przyjął ogłoszenie mobilizacyi ze spokojem i przeświadczeniem,





(Fot. J. Kuszewski) Grupa Polaków na Hradczynie. **Rok w stolicy Czech:** Wycieczka Polaków z Pragi w Czeskim Raju (Fot. St. Bukowski).

że nałożonemu nań obowiązkowi sprosta w zupełności.

Na hasło, rzucone wtedy ze Lwowa, całe społeczeństwo ogarnął gorączkowy zapał, skutkiem czego termin oddania na usługi armii w kraju czternastu szpitali i całego szeregu stacyj wypoczynkowych został znacznie wyprzedzony. A jak wielki był ten zapał, i jak daleko poczucie humanitaryzmu



Galicyjskie Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża: Prezes książę Paweł Sapieha.



Szlakiem bojowym Legionów: Pluton podpor. Bortnowskiego ostrzeliwuje pozycye rosyjskie. (Fot. Durek).



Z pola walki: Rosyjskie okopy, zburzone pociskiem artyleryi austryackiej.



Rok w stolicy Czech: Wycieczka Polaków z Pragi w Dzikiej Szarce pod Białą Górą. (Fot. T. Jaworczynowski).

wniknęło w najgłębsze warstwy ludności — dowodzi fakt, że chociaż ten wielki gmach wskutek strasznych ciosów wojny zachwiał się w podstawach i utracił chwilowo główny punkt oparcia — sztandar krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża nie pochylił się ani na chwilę i, przetrwawszy próbę ognia, rozwinął się jeszcze wspanialej.

niepomierna zasługa jego prezydenta, księcia Pawła Sapiehy. Zasługa tem większa, że z chwilą ewakuacyi Lwowa i rozproszenia się członków Związku, ogrom pracy i odpowiedzialności spadł wyłącznie na barki prezydenta. Książę osiadł wówczas w Krakowie, gdzie też i do tej pory pozostało biuro prezydialne, jako ekspozytura Wydziału. Nie szczędząc





Polacy Legioniści przed domkiem Loretańskim w Pradze. (Fot. inż. L. Bratz).

Rok w stolicy Czech: Wycieczka Polaków z Pragi w Swiętojańskim Jarze Wełtawy. (Fot. Stan. Bukowski)

Była chwila, że pozostały dwie tylko placówki: Biała i Nowytarg. (Ryciny nasze przedstawiają budynki szpitali naszych Czerwonego Krzyża w obu tych miejscowościach). Dziś mamy nie tylko napowrót imponujący rozmiarami szpital Czerwonego Krzyża we Lwowie, składający się z dziesięciu gmachów i obejmujący 1200 łóżek, ale nadto szpitale w Białej, Nowym Targu, Rabce, Nowym Sączu, Rzeszowie, Stanisławowie i Kołomyi, a nadewszystko rozpoczęliśmy działalność na terenie Królestwa Polskiego. Tam, w Kielcach, powstał pierwszy na nowym terenie szpital naszego Czerwonego Krzyża i rozwija się znakomicie, zyskując uznanie ludności i władz wojskowych.

Możemy z dumą powiedzieć, że nasz Czerwony Krzyż wykazał nie tylko prawdziwą żywotność, ale przez swe sukcesy tu właśnie, na terenie walki, wybił się na czoło wszystkich innych. I w tem leży

trudu i zdrowia, działał bez wytchnienia, pojawiając się wszędzie tam, gdzie wymagało tego dobro instytucyi i wlewając w otaczających go coraz liczniej nowych pracowników część tego zapału, jakim sam był ożywiony.

Plany księcia Sapiehy sięgały — rzec można — daleko poza normalne ramy Czerwonego Krzyża. Dowodem tego podjęta przez prezydyum akcya zapomogowa, dalej tworzenie kolumn, zwalczających choroby zakaźne wśród ludności cywilnej, równolegle z podobną akcyą zasłużonego komitetu księcia biskupa krakowskiego. Przyszłość zdoła dopiero ocenić zbawienne skutki tej działalności.

W numerze dzisiejszym podajemy portret zasłużonego prezydenta Czerwonego Krzyża.

Rok w stolicy Czech.

Większość naszych wychodźców powróciła już do kraju, uwożąc z miast i krajów, do których na czasowy pobyt losy ich zagnały, rozmaite, czasem bolesne i przykre, a czasem i miłe wspomnienia. Do najprzyjemniejszych wśród tych kolonii wychodźczych należała niewątpliwie Praga, gdzie w jesieni 1914 roku zawitało kilka tysięcy rodzin polskich, w połowie ze sfer intelligencyi zawodowej i urzędniczej, w większości z Krakowa i Galicyi zachodniej pochodzących. Nic dziwnego, że Praga, należąca do najpiękniej położonych i najbogatszych w zabytki artystyczne miast Europy, podobała się polskim przybyszom bardzo, tłumnie też od samego początku zajęto się zwiedzaniem jej muzeów, zbiorów, osobliwości i pamiątek. W połowie grudnia wyłoniła się myśl organizacyi zbiorowych polskich wycieczek po Pradze i okolicy. Łącząc przyjemne z pożytecznem miały one Polakom urozmaicić smutne czasy wygnania, dać im rodzaj rozrywki umysłowej, a równocześnie zaznajomić z przeszłością kraju i miasta, w którem przypadkowo się znaleźli i udostępnić jego systematyczne zwiedzenie. Organizacyę tych wycieczek poruczył Komitet Wychodźców Galicyjskich dr. Mie-



Rok w stolicy Czech: Wycieczka Polaków z Pragi przy romańskiej kaplicy z XI. wieku na Wyszehradzie. (Fot. Stan. Sheybal).



Z polskich pobojowisk: Rezerwoar kolejowy w Wysokolitewsku, zburzony przez Rosyan.

czysławowi Orłowiczowi ze Lwowa, sekretarzowi tamtejszego oddziału Krajowego Związku Turystycznego i autorowi „Illustrowanego Przewodnika po Galicyi“. Te wycieczki zbiorowe zainaugurowane odczytem dr. Orłowicza „Co zwiedzać w Pradze“, rozpoczęły się zwiedzeniem katedry na Hradczynie. Projektowane pierwotnie na dwa tygodnie, wobec ogromnej popularności, jaką cieszyły się od samego początku (bywały wycieczki liczące po dwieście a nawet trzysta osób), przedłużone zostały na cały sty-



Z żałobnej karty Legionów: S. p. Józef Grechowicz. S. p. por. Józef Klisiewicz. S. p. kap. Adam Kossakowski.



Z żałobnej karty Legionów: Grób podpor. Władysława Storożyńskiego (pierwszy krzyż od lewej strony) we wsi Szipocie na Bukowinie. Obok groby oficera austryackiego i oficera rosyjskiego.



Szlakiem bojowym Legionów: Placówka pod W. w czasie pościgu Rosyan. (Fot. Fr. Durek).

czeń i luty, a odbywały się codziennie rano i popołudniu. Po kilkumiesięcznej przerwie w miesiącach wiosennych, podjęte zostały na nowo z początkiem lipca i odbywały się już bez przerwy aż do końca listopada. W sezonie zimowym zwiedzano przeważnie samą Pragę, jej muzea, kościoły, pałace, fabryki i niektóre z urządzeń technicznych, jak rzeźnię, kanalizacyę, wodociągi, elektrownię i t. d. — w sezonie zaś letnim i jesiennym rozszerzono program na wycieczki w bliższe i dalsze okolice Pragi, jak zamki Karlsztyn i Krzywoklat, historyczną Białą Górę, romantyczny wąwóz Wełtawy „Svatojańskie Prondy“, Czeski Raj, skalistą dolinę Dzikiej Szarki, Zbrasław, kopalnie srebra w Przybramie, bogatą w zabytki sztuki Kutną Horę i t. d., posługując się koleją, parowcem, a nawet łodziami. Ogółem zorganizował dr. Orłowicz po koniec listopada 356 polskich wycieczek zbiorowych, w których ogółem brało udział przeszło 11 000 osób.

Prócz Polaków z Pragi i okolicy, zajął się dr. Orłowicz również oprowadzaniem po Pradze kilku wycieczek zbiorowych polskiej młodzieży szkolnej z Chocni.

Czesi przyjmowali wycieczki polskie bardzo życzliwie, ciesząc się z zainteresowania, jakie ich stolica obudziła wśród gości polskich. W organizacyi wycieczek ofiarował swą pomoc czeski krajowy Związek turystyczny, a w szczególności jego sekretarz, dr. Dvořak, dzięki interwencyi którego otwarto dla Polaków szereg instytucyi, chwilowo zamkniętych dla publiczności, umożliwiono zwiedzenie trudno dostępnych, wyrabiając wszędzie potrzebne pozwolenia, a wreszcie uzyskano zwolnienia lub zniżenie opłat. Cały szereg uczonych czeskich nie szczędził czasu ani trudów, pomagając w objaśnianiu uczestników wycieczek i wygłaszając dla nich wykłady, nierzadko w polskim języku. Szczególnie chętnym okazał się w tym kierunku dyrektor biblioteki uniwersyteckiej dr. Emler, historyk sztuki dr. V. Stech, dyrektor muzeum czeskiego dr. Jarosław Kvapil, inż. Kavalir, redaktor Rozwoda, p. Hovorka i wielu innych. Także na prowincyi były wycieczki polskie mile witanymi gośćmi, których oprowadzaniem zajmowały się miejscowe organizacye turystyczne.

Uroczyście przyjmowano Polaków w Kutnej Horze, gdzie witał ich burmistrz Machaček, uczestnik powstania z r. 1863, przemową w sali „Włoskiego Dworu“, wsławionej elekcyą Władysława Jagiellończyka na króla czeskiego w r. 1471.



Szlakiem bojowym Legionów: Stacya telefoniczna Legionów (pod ziemią) w spalonej wsi.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

25

Ale Barykada teraz nie spieszył się, pewny, że jest panem sytuacyi.

— Wcale ładny twój chłopiec — zaśmiał się cynicznie, ale coś mi się zdaje, że ja znam tę facyatę.

Wzrok jego znieruchomiał i zabłysnął przelotnem światłem.

— Słuchaj no Totor — rzekł do towarzysza — To przecież ten gagatek z ulicy Eulieport. Poznajesz?

— A pewnie! To on, jak żywy.

— Poczekaj no trochę. On mi przecież nic złego nie zrobił, nie wydał, choć mnie miał w ręce.

Apasz zamyślił się i zapytał potem ostrym, rozkazującym głosem.

— Mów zaraz, kto to jest — a nie kłam, bo to nie żarty.

— Mój narzeczony, hrabia de Kermor — wyszeptała z trudem Janina, której w tej godzinie obojętnem było już wszystko, oprócz jedynej myśli o człowieku ukochanym przez nią, którego w duszy w tej ostatniej chwili życia ośmieliła się nazwać w ten sposób.

— Proszę oddać mi tę fotografię — poprosiła błagalnie.

— Otóż to — mruknął apasz. — Głupia sprawa. Z Kermorem jestem w przyjaźni i winienem mu wdzięczność. W ten sposób skwitujemy się. Powiesz mu, co dla niego uczyniłem. Powiesz mu, że to był Barykada! To mu wystarczy. A teraz wracaj do domu.

Mówiąc to, apasz zbiegł ze skały, pociągając za sobą zdumionego Totora.

— Niema tu dla nas roboty, mój mały — tłumaczył mu po drodze. — Niech sobie Delrue radzi jak może. Ja do tego ręki nie przyłożę.

— A jednak, zdaje mi się, że głupstwo robisz, stary.

Barykada wzruszył ramionami i oddalał się spiesznie, mrucząc coś pod nosem, czego Totor zrozumieć nie mógł.

Tryumf miłości.

Zdawało się Andrzejowi Delrue, że nic już teraz nie stanie na drodze jego szczęścia, wywalczonego za cenę najgorszych niebezpieczeństw, kombinacyi i podstępów. Nie wiedział, że Allan Brenn, człowiek jasnego działania i energii był na drodze pomieszania wszystkich jego rachunków.

Allan szedł prosto i bez zastrzeżeń do raz wytkniętego celu, z rozwagą i postanowieniem niezłomnem.

Kwestya zaprowadzenia linii kolei francuskiej na afrykańskiej ziemi była już zadecydowana. Pozostawała teraz miłość Henryka de Kermor dla jego siostrzenicy, a tę sprawę postanowił załatwić i rozwiązać w ten lub ów sposób. O Jance le Brenn Allan myślał, iż może być rzeczywiście taką, jaką ją przedstawił markiz de Kermor, ale również dobrze może to być straszna potwarz, rozmyślnie na nią rzucona, aby uczynić ją nieszkodliwą, i aby najżywiej interesowany w tej sprawie człowiek mógł ją znienawidzić i o niej zapomnieć.

Przystąpił więc do rozwiązania tej zagadki, jak sędzia bezstronny i obowiązkowy. Nie mogąc jeszcze poruszać tej materyi wobec Henryka, zwrócił się do markiza.Po owej poważnej i dosyć ostrej rozmowie, obydwaj pogodzili się i zaprzyjaźnili szczerze.

— Mój drogi markizie — rzekł Allan w kilka dni później — zechciej pamiętać, że od dzisiaj zdaję wszelkie korzyści z naszej eksploatacyi kolonialnej na rzecz Henryka. Interes jest pewny. Nie mówmy więc o nim więcej.

— Przeciwnie, mówmy o nim — zaprzeczył gorąco pan de Kermor — choćby dlatego, ażebym mógł wyrazić panu moją wdzięczność.

— To niepotrzebne. Robimy doskonały interes, oto wszystko.

— Jesteś pan strasznym człowiekiem, panie Allanie.

— Tylko praktycznym. Ale, jeżeli to panu się podoba, możemy poruszyć teraz stronę sentymentalną.

— Przyjemniejszą będzie zapewne od praktycznej.

— Doskonale. Posłuchaj pan zatem mojej historyi. Jestto koniecznie potrzebne, inaczej zachowałbym te szczegóły dla siebie.

— Słucham pana z całą uwagą.

Markiz zagłębił się w głębokim fotelu i uważnie spojrzał na Allana.

— Nie będzie to opowiadanie wysoce umoralniające — zaczął, uśmiechając się tenże. — Takich jak ja, jest wielu, zdaje się na świecie. Rodzina, to rzecz święta, przyznaję, ale ja nigdy bardzo się nią nie przejmowałem. Ojciec mój i matka musieli być zacnymi ludźmi, którym dałem się dobrze we znaki. Miałem zaledwie pięć lat, kiedy po raz pierwszy uciekłem z domu; przyprowadzono mnie i ukarano, a ja znowu wkrótce uczyniłem to samo. Widząc, że nie poprawię się tak prędko, rodzice oddali mnie na okręt w charakterze chłopca okrętowego. Praktyka moja miała trwać trzy miesiące, a trwa w rzeczywistości do tej pory. Zaznaczę panu, że nie miałem dla siebie wygórowanych potrzeb, a jednak marzeniem mojem było zostać bogatym. Było to głupie oczywiście. Przebiegłem świat cały, pracując jak zwierzę, wiecznie zgłodniały i obdarty. Kilka razy los mi się uśmiechnął, po to chyba, żeby mnie znowu wtrącić na dno nędzy i ubóstwa. Traciłem to, co już uzyskałem dzięki uporowi mojemu i intelligencyi, a dla ukoronowania całej mojej niebezpiecznej karyery włóczęgi, ostatnio, mając już lat pięćdziesiąt, pozwoliłem sobie w najgłupszy sposób ukraść cały majątek. Działo się to na Alasce. Skoro więc tam już byłem, przystąpiłem do Towarzystwa zakładającego szyny żelazne w lodowcach. Przedsiębiorstwo całe wywinęło kozła i uciekło. Podjąłem całą sprawę przy pomocy kilku kolegów i akcyonaryuszów, bardziej zaciętych i wytrwałych od reszty. Przedsiębiorstwo rozwinęło się wspaniale! Ot i zostałem teraz głównym operatorem na własną rękę, jak pan widzi.

— Staniesz się pan głośnym na świat cały. Przedsiębiorstwo pana jest kolosalnej wartości.

— Możliwem to jest — odpowiedział z zadowoleniem Allan. — Miłość moja własna zaspokojoną została. Ale w moim wieku na co to mi właściwie potrzebne? Są teraz rzeczy, których mi żal... Tęsknota za rodziną, spóźniona co prawda, owładnęła mną... Pozwoli pan, że się zabawię teraz w sentymentalistę. Nie znudzi to pana?

— Ależ przeciwnie, ta rozmowa interesuje mnie bardzo. Kontrast między naszemi życiami jest tak żywy; stajemy wobec siebie na dwóch przeciwległych krańcach. Pan, człowiek walki i pracy, ja zaś człowiek, którego przyjemności światowe doszczętnie zrujnowały. Mamy tylko jeden punkt styczności — majątek uśmiechnął nam się już przy końcu życia, tylko, że ja niczem nie przyczyniłem się do tego, podczas kiedy pan...

— Oddałbym wszystko za to, co panu jeszcze pozostało; szlachetna, dobra żona i syn! Długo myślałem, jaki uczynić użytek z moich pieniędzy i wkońcu postanowiłem powrócić do kraju i poświęcić go jakiej zacnej rodzinie.

— Dlaczego nie pomyślał pan wcześniej o swojej siostrzenicy. O Janinie le Brenn?

— Fatalność przytrzymywała mnie na drugim końcu świata. Człowiek zawsze to, co najlepsze, odkłada na później — tymczasem nadchodzi starość. Przytem dowiadywałem się, odpowiedzi nadchodziły zwiastujące mi śmierć moich najbliższych.

— Oprócz tej sieroty, którą mógł pan uratować jeszcze!

— Czyż niema dla niej już żadnej nadziei ratunku?

O tem właśnie chciałem z panem pomówić. Zrozumie pan, jak mi ta sprawa leży na sercu. Na przyszłość ona stać się może wszystkiem dla mnie — lub niczem!

Niebieskie oczy Allana nabrały metalicznych blasków, podczas kiedy z energią wymawiał ostatnie słowa. Podziałały one głęboko na markiza de Kermor, który teraz sam zaczął wątpić, czy rzeczywiście młoda dziewczyna była tak zepsutą, jak mu ją przedstawili.

— Oto wszystko, co mogę panu odpowiedzieć! — wyrzekł poważnie — Janina le Brenn zniknęła nagle z naszego pałacyku i z mieszkania swojego przy ulicy Temple, prawie w sam dzień powrotu Henryka z Afryki.

— Bez powodu? Bez tłumaczeń?

— Pozostawiła tylko do markizy dosyć długi list, w którym jednakże niczego nie wyjaśnia, zaslepiając się w tajemniczej jakiejś boleści i wyraża głęboki swój żal, że w ten sposób pożegnać nas musi.

— Widzę z tego, że nie musi być dziewczyną bez serca.

— Nie mogliśmy też czynić żadnych zarzutów — przyznał markiz de Kermor.

— Ale później?

— Tak, później coś się zmieniło. Wpadła w jakieś gorączkowe życie, które zwróciło uwagę policyi i trwało to aż do chwili, w której sekretarz mój zwrócił jej pieniądze pozostawione u nas i namówił do opuszczenia Paryża. Stało się to niedawno.

— A ten szalony tryb życia w Paryżu trwał jak długo?

— Kilka tygodni.

— Po latach przykładnego prowadzenia się i pracy, nieprawdaż?

— Tak jest. to muszę przyznać, a markiza potwierdzić może.

— Doskonale. Ale o tem złem prowadzeniu się dalszem, kto wiedział i kto o niem mówił? Pan sekretarz zawsze — co?

— Tak. Andrzej Delrue, przyjaciel Henryka, człowiek godny zaufania, któremu powierzyłem interesa moje, a w którego uczciwość wątpić nie mam prawa.

— Ja jednakże mogę mieć pewne wątpliwości, nie urażając markiza. Mój własny interes do tego mnie upoważnia. Będąc przyjacielem Henryka, ten pan musiał wiedzieć o miłości jego dla Janiny le Brenn?

— Zapewne wiedział.

— To jest oczywiste.

— Ale znowu w interesie Henryka, któremu jest bardzo oddany, starał się tę miłość wyrwać z jego serca.

— Tak pan sądzi? A może było przeciwnie.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że mógł również dobrze działać w swoim interesie. Ten pan nie jest bogaty?

— Nie był nim nigdy, ale teraz, dzięki korzystnym spekulacyom, jest na drodze do zrobienia majątku. Znalazł poważnego wspólnika...

— Baron de Bressien?

— Nigdy w życiu! Właśnie Delrue gra przeciw niemu.

— To znaczy, że nie obce mu były operacye finansowe barona. Pozwoli pan markiz na niedyskretne pytanie. Zdaje mi się, że baronowi bardzo gorąco zależało na tem, żeby jego córka została hrabiną de Kermor?

— Tak, dla wielu nawet powodów, muszę to przyznać z wielką niechęcią.

— Panie de Kermor, stajesz mi się ogromnie sympatycznym, mówiąc w ten sposób... Przypuszczenie moje jest może śmieszne, bo nie oparte na żadnych konkretnych podstawach, ale przeczuwam, że nie będzie mylne. Zachowam je jednak dla siebie, aż do chwili, w której się w tym względzie dowiem czegoś poważniejszego.

— Pan, zdaje mi się, podejrzywa mojego sekretarza, że jest w umowie skrytej z baronem de Bressien? Czytam to w pańskich oczach.

— Może...

— No, przyznaj się pan.

— Mam prawo sądzić w ten sposób. Kto wiedzieć może, czy ten pan, myśląc, że działa zgodnie z interesami pana i Henryka, nie zawziął się przeciw mojej biednej Janinie, chcąc za jakąkolwiek cenę doprowadzić do małżeństwa syna pańskiego z panną de Bressien. Ale od dzisiejszego dnia ja sam zajmę się życiem Janiny le Brenn i nie jestem Allanem, jeżeli w przeciągu kilku tygodni prawda na wierzch nie wypłynie.

— Allan! Zastanów się pan! Nie mogę panu pozwolić działać przeciw Andrzejowi Delrue. Byłoby to tem samem przyznać, że uważam go za zdrajcę i podłego człowieka.

— Nie powiedziałem panu, że działać zamierzam przeciw niemu, tylko, że postaram się o informacye, oto wszystko. Janina le Brenn, uczciwa i pracowita dziewczyna, zniknęła z pałacu w czasie powrotu syna pańskiego i odtąd zdaniem pana Delrue wiodła skandaliczne życie, aż do chwili, kiedy powróciła do rodzinnej wioski. Delrue zaś, jak sam pan markiz zauważył, z ubogiego stał się nagle bogatym, dzięki jakiemuś wspólnikowi? Czy nie tak?

— Tak jest oczywiście.

— Czy to nie jest logiczne?

— Owszem, ale. panie Allan, czy się pan zanadto nie gorączkuje, wyciągając z tego pewne wnioski. Zresztą, to samo, co panu powiedziałem, powtórzy panu Henryk.

— Jeszcze jedno, ostatnie zapytanie: Czy pani markiza podziela pańskie zaufanie do pana Delrue?

— Dlaczego się pan o to mnie pyta?

— Dlatego, że kobiety umieją lepiej widzieć od

nas mężczyzn i przeczuwają od nas silniej. Ich oczy są więcej badawcze, a sąd subtelniejszy i pewniejszy.

— A więc będzie pan tryumfował. Markiza nie odnosiła się nigdy zbyt życzliwie do naszego sekretarza.

— Doskonale. Teraz pozostaje mi tylko rozmowa z Henrykiem, a po tej rozmowie wsiąść na pierwszy parowiec odpływający do Francyi. Tam tylko będę w możności przeprowadzenia tego delikatnego śledztwa.

— Życzę panu najgoręcej, aby się powiodło szczęśliwie.

— Niech pan niczego mi nie życzy, panie markizie, zanim pan nie pomyśli o kousekwencyach mojego kroku.

— Mogą tylko być dla pana szczęśliwe, zatem przyjemne i dla mnie.

— Bardzo to ładne, ale jednak trzeba przewidzieć koniec tej całej historyi, który nie może być innym: małżeństwo z miłości, zawarte pomiędzy moją siostrzenicą, a synem pana.

— Henryk jest w tym wieku, iż nie potrzebuje liczyć się z naszem pozwoleniem. W tem jednak, zaręczam panu, przeszkody mieć nie będzie.

— Ale inna być może, nieprawdaż? Chciałbym ją znać, abym ją zawczasu mógł usunąć.

— Ależ pan w szybkiem tempie działa, panie Allan! Jest słowo honorem zaangażowane, przeszkoda moralnej natury, dosyć chyba poważna.

— To prawda — przypomniał sobie Allan niechętnie. — Mówiłem z nim o tem w czasie podróży, odpowiedział mi, że gdyby nawet zyskał niezliczoną ilość milionów w tej ekspedycyi, to, pomimo to, musi zaślubić pannę de Bressien, której nie kocha, jestem o tem przekonany...

— Widzi więc pan, że sprawa jest trudna — rzekł pan de Kermor, którego ta cała rozmowa nieprzyjemnie wzburzyła.

— Tak, widzę, że słowo jego jest dane. Ale pan de Bressien, to aferzysta w każdym calu. Odkupię od niego słowa Henryka za wysoką sumę i będzie mógł dalej operować na giełdzie. Czy pan markiz nie ma nic do zarzucenia moim planom.

— Skoro pan ma odpowiedź na wszystko, panie Allan. Ale — dodał, chcąc popchnąć rozmowę na inne tory — pozostawmy już tę kwestyę małżeństwa na boku. Nie potrzebuję ukrywać przed panem, że starałem się sam już wycofać słowo Henryka i wynagrodzić za to barona de Bressien stosownie.

— Oh! Nie wiedziałem o tem — zaśmiał się z zadowoleniem Allan. — Ale i ja już czuję się zmęczonym tą sentymentalną rozmową. Gdybyśmy tak wrócili do praktyczniejszej strony. Możebym się mógł stać panu w czem użytecznym, bo dotąd tylko nieprzyjemnym byłem, nieprawdaż? Jak mi pan markiz wspomniał, finanse jego w tym czasie poprawiły się znacznie.

Markiz w kilku słowach wtajemniczył go w spekulacyę swoją, powziętą na akcyach kopalnianych, wydanych przez bankiera.

— Nie znam przyjaciela pańskiego, pana de Bressien — odparł poważnie Allan - ale znam doskonale te terena, o których pan mówi, gdyż sam eksploatowałem je przez pewien czas nie bardzo szczęśliwie. Otóż muszę panu powiedzieć, że szanse te są bardzo zwodnicze i mało realne. Obecnie ta kopalnia „Golden", której akcye pan nabył, przechodzi już do przeszłości. Już wcale złota nie produkuje. Pozostało tam, co prawda, parę nędznie wydatnych żył, na które absolutnie liczyć nie można.

— Do dyabła! — zawołał markiz. — Czy to możebne! Gdyby słowa pana słyszano na giełdzie! Ja przecież tam zaryzykowałem poważną sumę.

— Niechże więc pan prędko te akcye odsprzeda, jeżeli jeszcze wogóle pora na to. Wskażę panu lepsze i pewniejsze lokacye. Niech mi pan wybaczy te słowa, ale ten pana bankier, de Bressien, to musi być jakieś podłe i wyrachowane indywiduum, skoro ośmielił się akcye te w kurs puścić! Albo uczynił to z wyrafinowanego wyrachowania, albo z głupoty.

Markiz zbladł cokolwiek i zapytał stanowczym głosem:

— Czy pan jest pewnym tego, co mówi?

— Tak pewnym, jak żyję i rozmawiam w tej chwili z panem. A nie wątpi pan, że życzę mu dobrze, choćby przez wzgląd na Henryka i moją siostrzenicę.

— Dziękuję panu. Zanim panu obszerniej odpowiem, zatelegrafuję do Paryża. Idę to uczynić natychmiast.

Śledztwo.

Gorączka, która nawiedziła Henryka de Kermor, była tylko następstwem jego choroby, datującej się jeszcze z Paryża i przełomowym stanem, którego już pogorszyć nie mógł Andrzej Delrue, drażniąc chorego podejrzeniami i zjadliwemi słowami.

Markiz de Kermor z zaparciem się siebie, jak najtroskliwsza dozorczyni czuwał dniem i nocą przy łóżku syna przy dzielnej pomocy Allana le Brenn i kolonialnego lekarza. Po wstrząsającej scenie, której byliśmy świadkami, mogło tylko nastąpić gwałtowne polepszenie w stanie chorego, lub też zupełny zanik sił żywotnych. Wzruszenie to silne wywołało szczęśliwą reakcyę na chorym. Gorączka nazajutrz ustąpiła prawie, Henryk czuł się silniejszym i spokojniejszym.

Doktor i Allan z zadowoleniem spoglądali na niego, pewni już, że niebezpieczeństwo odsuniętem zostało. Allan nawet skorzystał z tego widocznego polepszenia, aby pomówić z Henrykiem o sprawie, która zajmowała go tak żywo.

— Mój drogi — rzekł do młodego człowieka, który mógł już przenieść się z łóżka swojego obozowego na hamak, zawieszony u pułapu dużej werandy. — Czy czujesz, że będziesz mógł bez szkody dla twojego zdrowia wysłuchać mnie?

— Zależy od tego, co usłyszę — odpowiedział dosyć niechętnie Henryk.

Ale już pierwsze słowa jego starego przyjaciela wzbudziły w nim ufność i nadzieję.

— Nie wiesz może, mój kochany, że nigdy jeszcze majątek twojego ojca nie stał na silniejszych podstawach i że przyszłość twojej pracy kolonialnej przedstawia się jak najpomyślniej. Jeżeli więc zechcesz się teraz połączyć na zawsze z jakąkolwiekbądź kobietą, stanie się to za twoją własną wolą i wyborem. Możesz się zatem uważać za zwolnionego od danego słowa baronowi de Bressien, jeżeli ci to dogadza.

— Ależ to niemożliwe — szepnął Henryk, nie rozumiejąc jeszcze znaczenia słów Allana.

— Mylisz się. Mając pieniądze w rękach, można się zawsze porozumieć z takim człowiekiem jak bankier, który prócz tego, że lubi pieniądze, zdaje mi się być intelligentnym.

— Ale jest jeszcze jego córka — rzekł Henryk przejęty nadzieją, którą dojrzał nagle i która napełniła go głęboką radością.

— Jego córka? — zaśmiał się niedbale Allan. — Bądź spokojny! Pójdzie i ona za zdaniem rozsądnego swojego ojca. Jest to zresztą jej obowiązkiem. Ale tracimy czas napróżno. Pomówmy o tem, co nas równomiernie tak gorąco interesuje.

— O Janinie?

— Tak. Rozmówiłem się już z ojcem w tej kwestyi i nie ma jej osobiście nic do zarzucenia ponad to, co mówi o niej pan Delrue, nikt więcej, tylko pan Delrue.

— Ah! on, sprawca mojego nieszczęścia! Tak, przyznaję, słowa Andrzeja Delrue zadały mi ten cios straszny i obudziły podejrzenia i żal do niej.

— Zawsze on! Czy rzeczywiście obdarzasz go przyjaźnią?

— Ależ ja go nienawidzę! — zawołał Henryk wstrząsając się nerwowo — pogardzam nim w głębi duszy, a jednak i to najsmutniejsze, właściwie nie mam mu nic do zarzucenia. Bo chociaż chciałbym powtórzyć za panem, że to jest niemożliwem, nie mogę tego uczynić, bo słyszysz, mój przyjacielu — widziałem sam na własne oczy! To chyba dosyć!

— Nie sądzę!

— Co pan ma na myśli, panie Allan?

— Powiem ci później, teraz mój drogi musisz mi wszystko powiedzieć szczerze i otwarcie. Proszę cię o to w imię naszej przyjaźni.

Już od chwili pod wpływem tej rozmowy gorączka opanowała Henryka. Jednakże przystąpił do opowiadania z całą świadomością człowieka, który widzi jedyny ratunek przed sobą. Wyjawił Allanowi wszystko: miłość głęboką i niczem niezwalczoną do Janiny le Brenn, oskarżenia Andrzeja Delrue, list Janiny pisany do niego, schadzki w domu pani Wiktoryi, wstrętną namiętność doktora Magnusa do młodej dziewczyny, wkońcu straszną parodyę aktu ślubnego i aresztowanie dokonane przez policyę. Allan słuchał go w milczeniu, nie odrywając spojrzenia od twarzy mówiącego. Kiedy nareszcie Henryk wyczerpany zamilkł, poruszony temi bolesnemi wspomnieniami, Allan po chwili namysłu odezwał się poważnie:

— Nie przeczę, że oskarżenia te są straszne i ciężkie, ale nie widzę w nich żadnego realnego faktu, ani niezbitego dowodu prawdy.

— Jakto? Więc mi pan nie wierzy? — szepnął Henryk z dziwnem, radosnem wzruszeniem — Nie jest pan jeszcze przekonany zupełnie?

— Jeszcze nie, moje dziecko. Zastanawiam się nad tem wszystkiem, co mi wyjawiłeś. Są tylko jak powtarzam, oskarżenia Andrzeja Delrue, a te mogą być kłamliwe. Jest list Janiny, pisany rzekomo do tego człowieka... może być podrobiony. Wkońcu jest ta scena, posiadająca rzeczywiście realne zabarwienia, ale równie dobrze mogła być przygotowaną zręcznie przez tego Delrue, bo przyznam ci się mój drogi, upór i zaciętość. z jaką on pragnie oczernić Janinę w oczach twoich i twojej rodziny, dać może wiele do myślenia i wzbudzić słuszne podejrzenia. Pamiętaj, że tak daleko nie sięga przyjaźń i życzliwość najgorliwszego przyjaciela. W tem jest jakaś myśl uboczna, jakiś interes. Ten Delrue ma protektora, czy też wspólnika?

— Barona de Bressien — rzekł Henryk, przypominając sobie pewną rozmowę, którą miał niegdyś z Andrzejem Delrue.

— Najprawdopodobniej. I jeżeli ten ich stosunek wzajemny i łączność interesów rzeczywiście egzystuje, łatwo można sobie wytłumaczyć oskarżenie tego pana, list sfałszowany i resztę. Co zaś do tej pani Wiktoryi, to musi być doświadczona dama, która poprostu mogła zastawić sidła na naiwność Janiny i jej łatwowierność. Obecność jej w tym domu, nie potępia jej jeszcze bezwzględnie, skoro jak sam mówisz, policya wypuściła ją na wolność. Zdaje mi się, mój drogi, że rozumowanie moje jest dosyć logiczne.

— A więc, ten Delrue jest poprostu ostatnim łotrem, któremu zaufałem bez granic!

Allan spokojnie wyciągnął cygaro i zapalił je, mówiąc z szczerym uśmiechem:

— Tak coś mi się zdaje i mam nadzieję, że się nie mylę.

Henryk de Kermor, wzburzony i przejęty, był teraz gotów uczepić się skwapliwie tego promyka nadziei, który mu Allan ukazał, nie odnajdując w sobie najlżejszego wyrzutu i żalu za ostry sąd skierowany do tego człowieka, którego dotąd uważał za przyjaciela i powiernika.

— Przypominam sobie teraz wiele rzeczy! — zawołał gorąco — Widzę, że był nieubłagany i okrutny dla tej biednej Janiny. Zdawało mi się, że przyjaźń, którą dla mnie odczuwał, czyni go tak gorliwym i surowym! Ale to było co innego! Baron de Bressien, nie ja, pozyskał go dla swoich wyrachowań! Ten łotr, któremu ojciec zaufał bezwzględnie.

— Łotr? Czy to nie za silne wyrażenie, kochany Henryku?

— Zrujnował mojego ojca! Narzucił mi to małżeństwo!

— I stosownie umiał wpłynąć na tego Delrue, to jest oczywiste!

— Nie spodziewałem się takiej zdrady od człowieka, którego wydźwignąłem z nędzy!

— Tego nie wiedziałem.

— Baron de Bressien — mówił dalej Henryk zniżając głos — starał się już niegdyś przekupić naszego starego plenipotenta, ale to mu się nie udało... tamten zginął zamordowany, gdyż rzekomy przypadek jaki go spotkał na polowaniu tem tylko tłumaczyć można. On jest zdolny do wszystkiego!

— Nie było mu więc trudnem ująć w rękę Andrzeja Delrue, nowego plenipotenta, który wzbogacił się nagle i cieszy się najlepszem zdrowiem.

— Ah! Gdybym był tego pewny. Gdybym miał niezbity dowód w ręce.

— Postaram się go dostarczyć — rzekł Allan wstając.

— Pan mi go dostarczysz? Ale jak? Gdzie?

— Udam się niezwłocznie do Paryża. Tu nie mam więcej nic do roboty. Szyny założą bezemnie, a stan twojego zdrowia nie może mnie już niepokoić. W razie gdyby panna Janina le Brenn potrafiła się oczyścić z zarzutów jej uczynionych, czy nie miałbyś jej czego do powiedzenia — dodał Allan uśmiechając się chytrze. — Być może, że zawadzę o Bretanię...

— Co pan mówi?! Mój Boże!

— To co słyszysz, kochany chłopcze.

— Ty, mój drogi, stary przyjacielu! Odnajduję w tobie drugiego ojca — szepnął Henryk, nieprzytomny prawie ze szczęścia. — Jeżeli tam będziesz, powiedz jej, że odtąd rodzina le Brennów będzie rodzina Kermorów i że ją kocham zawsze do utraty zmysłów.

— To się nazywa mówić z sercem — rzekł Allan, ściskając serdecznie młodego człowieka.

Prosto do celu.

Żegnając się z żoną przed wyruszeniem w wiadomą podróż, markiz de Kermor podał motyw niemożności odmówienia przyjacielowi, który go wzywał do Nicei.

— Może nawet uczynimy małą przeprawę jachtem — dodał niedbale. — Czas taki piękny a pobyt w Paryżu już mi się dobrze daje we znaki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z żałobnej karty Legionów.

Chlubne karty Legionów polskich, zapisane tylu świetnemi czynami męstwa i bohaterstwa, zawierają już długą listę tych, co życie własne złożyli w ofierze. Z tej karty żałobnej wymieniamy dziś trzy nazwiska poległych na polu chwały: S. p. porucznika Klisiewicza, ś. p. Józefa Grechowicza i ś. p. Władysława Storożyńskiego.

O najmłodszym z nich, niemal dziecku, ś. p. Grechowiczu, jego towarzysz broni sierżant szóstego pułku Legionów Polskich Antoni Chojnowski w nadesłanym nam liście pisze:

S. p. Józef Grechowicz poległ przy rannym ataku na wieś chcąc zasłonić swą osobą swego komendanta. Ugodzony kulą w głowę padł na miejscu. S. p. Józej Grechowicz, urodzony w Nowym Sączu w roku 1898, mając zaledwie 17 rok, dowiedziawszy się o wybuchu wojny, wstępuje w szeregi polskich żołnierzy i wyrusza wraz z I. kadrową kompanią w pole. Pełniąc bez przerwy służbę w okopach w III. pułku I. Brygady, brał udział w bitwach pod Krzywopłotami i Dęblinem w 1914 roku. Ranny dwa razy, leczy się w szpitalu w Wiedniu, skąd wraca do szeregów i zostaje przydzielony do pułku 6 go Legionów Polskich, do 6-tej tak zwanej Kompanii Skautowej. Pełniąc bez przerwy służbę w okopach w dniu 25. października zginął na miejscu, przeszyty kulą nieprzyjacielską. S. p. Grechowicz pozostawił brata w Legionach Klemensa (chorążego) który również walczy od początku wojny.

O śmierci, ś. p. Władysława Storożyńskiego jeden z jego towarzyszów, p. R. Sas-Jaworski, donosi nam:



Szlakiem bojowym Legionów: 3. komp. I. bat. 3. pułku w okopach. (Fot. Dep. Wojsk.)

S. p. Władysław Storożyński, słuchacz IV roku inżynieryi we Lwowie, członek Sokoła-Macierzy, były oficer Legionu wschodniego, podporucznik drugiego pułku piechoty drugiej brygady Legionów Polskich, zginął śmiercią bohaterską na polach Bukowiny pod Łopuszną, w 22 wiośnie życia. Żyje jednak w pamięci żołnierza, który w twardej swej doli nie zapomina o tych, którzy go kochali i szanowali. I choć kęs czasu upłynął, choć może wichry rozniosły mogiłkę i krzyż, obraz wodza bohatera nie zginął z oczu i pamięci. Zawsze był z nami, dzielił dolę i niedolę żołnierza, wspierał go i opiekował się nim jak matka. Niejednego do snu wiecznego utulił, osładzając ostatnie chwile życia...

Raniony pod Kirlibabą, nie rozstaje się ze swymi żołnierzykami, lecz idzie dalej, by spełnić obowiązek. W starciu z nieprzyjacielem pod Łopuszną przypadła Mu najlepsza pozycya obronna. Opuszcza ją jednak i urągając kulom, staje na przedzie, aby zbadać lornetą pozycye nieprzyjacielskie. Piąta salwa zamknęła Jego jasne oczy, zgasiła życie ukochanego komendanta.

W Szipocie, ubogiej wiosce bukowińskiej, skromny krzyż oznacza mogiłę bohatera. Do snu wiecznego ukołysała Go piosnka żołnierska:

Spij kolego w twardym grobie
Niech się Polska przyśni Tobie.



Szlakiem bojowym Legionów: Artyleryа I brygady. (Fot. Dep. Wojsk.)



Z teatru wojny: Żołnierze czarnogórscy wzięci do niewoli w ostatnich walkach na południowym terenie.



Humor na wojnie: „Świąteczne marzenia Legionisty", pocztówka, wykonana i odbita na hektografie przez Legionistów.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym zaczynamy I-szy kwartał XIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty do 6-go stycznia 1916 r. nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie 16 koron 17·— marek
Półrocznie 8 „ 8·50 „
Kwartalnie 4 „ 4·25 „

Kronika tygodniowa.

Zaczynamy więc szczęśliwie rok tysiąc dziewięćset szesnasty, który według zapowiedzi kalendarza będzie rokiem przestępnym, to jest liczącym {dni trzysta sześćdziesiąt sześć, o czem nie pomyślała ś. p. pani Lucyna Ćwierciakiewiczowa, wydając swe wiekopomne dzieło p. t. „Trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów za pięć złotych". Kto więc zechce się stosować do jej rad i wskazówek musi jeden dzień pościć, lub jeden obiad powtórzyć.

Jaki zresztą ten rok będzie, dziś nie mogę tego jeszcze powiedzieć, zabranie słowa zastrzegam sobie w kronice Sylwestrowej, a na razie życzę sobie i Szanownym Czytelnikom, byśmy tego w zdrowiu, humorze i dobrobycie doczekali.

Z obowiązku muszę teraz złożyć sprawozdanie, jak spędziłem święta Bożego Narodzenia, wrażenia z dnia Nowego Roku odkładam do następnej kroniki.

Przedewszystkiem więc wyrażam ubolewanie, iż święta Barbara raczyła nas łaskawie wykiwać. W jej imieniny było błoto, byliśmy też pewni, że Boże Narodzenie będzie po lodzie, tymczasem pokazało się, że było inaczej. We wigilią zaczęła się odwilż, oba dni świąt Bożego Narodzenia były najzupełniej mokre i to równocześnie z góry i z dołu, co wpłynęło ujemnie na humory święcących rozszerzonych obywateli miasta Krakowa i na jakość wina, którem przyjmowano z staropolską gościnnością odwiedzających przyjaciół i znajomych. Przyjęcia były przeważnie gorące, przekąski zimne.

Dzień wigilijny spędziłem, jak na ojca rodziny przystało, na łonie kochającej familii, z poczciwą Weronisią daliśmy sobie tradycyonalnie buzi, życząc sobie nawzajem, by rok przyszły był lepszy, choć będzie o jeden dzień dłuższy. Z powodu ciężkich czasów odpadło obdzielanie się upominkami, zamieniono je na obietnice, że w roku następnym będzie inaczej, o ile konjunktury się poprawią.

Z rybami był także kłopot, podrożały bowiem do tego stopnia, iż przeciętny obywatel, nie mający kamienicy, ani leżących kapitałów, nie mógł sobie pozwolić na sprawienie nawet chudego karpika, nie mówiąc już o szczupaku, który zaliczony został do rybiej arystokracyi i kupowany był niemal na wagę złota. Nawet śledzie podrożały, jak to już zresztą o tem poprzednio wspominałem, a za jednego pieczonego ziemniaka, którego w dzień wigilijny wsunąłem do żywota, policzono mi „tylko" dziesięć halerzy, zapewniając, że to z protekcyi, jako dla stałego gościa.

Ponieważ czasy są ciężkie, w dzień wigilijny we wszystkich knajpach było zatrzęsienie gości. Jedni pili ze zmartwienia, by zatopić robaka, który każdego z nas gryzie, inni z radości, że rok się kończy. Z ręką na sercu można powiedzieć, że trzy czwarte mieszkańców miasta przewinęło się w tym dniu przez lokale publiczne, a kupcy, restauratorzy, kawiarze i cukiernicy zacierali z radości ręce, stając się „łaknących nakarmić, a spragnionych napoić". Urzędowo stwierdzono, że tych ostatnich było stanowczo więcej, co się zresztą stale co rok powtarza.

Przy kieliszku i bombce zapomina człowiek o dolegliwościach żywota, nabiera fantazyi i animuszu, politykowano więc przez cały dzień wigilijny, co każe przypuszczać, że to samo będzie się robiło przez rok cały, wiadomo bowiem, iż każdy szanujący się złodziej stara się w tym dniu ukraść bodaj drobnostkę, by, jak powiada „było to dobrą wróżbą, że mu się będzie dobrze powodziło w następnym roku". Każdy z obywateli gadał, jak najęty, a kreślił także plany i wyciągał takie konsekwencye, że nie powstydziłby się ich i pierwszy lepszy minister spraw zagranicznych lub inny tego rodzaju dyplomata.

Obrady przeciągały się do późna w dzień wigilijny, niema bowiem w domu obiadu, a każdemu z ojców rodziny wolno bezkarnie wpaść na śledzika do knajpki, co jest nawet bardzo wskazanem, gdyż nie zawadza w domu i nie przeszkadza w różnych gospodarskich czynnościach.

Tego roku odpadło przynajmniej wiercenie maku, czynność bardzo miła, którą mi stale Weronisia powierzała, przemawiając do mej ambicyi, iż nikt tego z taką, jak ja precyzyą wykonać nie potrafi. Ale trudno, jaja podrożały, gdyż kury ani rusz nie chcą ich znosić, wobec tego trzeba było obejść się smakiem i żyć tylko wspomnieniem, jak to dawniej różne babki i dziadki smakowały.

Oba dni świąt obróciłem, rzecz prosta, na odwiedzanie przyjaciół i znajomych, którzy, muszę im to przyznać, przyjmowali mnie z otwartemi rękami i częstowali „czem chata bogata". I przekonałem się, że tak źle widocznie nie jest, jak się mówi, tu i ówdzie bowiem trafiłem na galaretkę z rybki lub świnki, tak słusznie nazwanej dla swojego niechlujstwa, szyneczkę na zimno i na gorąco, ba nawet dałem buzi doskonałemu indykowi, który za życia chyba ani przypuszczał, że doczeka się takiego zaszczytu, iż danem mu będzie znaleźć się w kronikarskim żołądku.

Jeden ze znajomych, mecenas z zawodu, zaprosił mnie na pierożki z kapustą, obficie masełkiem podlane i przysmażone, tłumacząc się skromnie:

— Moratoryum, łaskawy panie! Bezrobocie! Na co innego mnie nie stać!... Zaledwie tysiąc koron zarabiam miesięcznie... A tu tyle wydatków!... Ot, kupiłem sobie futro, kosztowało mnie tylko sześćset koron, ale też klient inaczej patrzy na człowieka we futrze, inaczej na takiego, który chodzi tylko w paltocie!...

Westchnąłem tylko, myśląc, co to będzie dopiero, gdy zniosą moratoryum i rozpocznie się adwokackie żniwo... Wówczas kupi chyba kamienicę, o ile jej dotąd nie ma, nie przyznaje się jednak do tego, być może z obawy, bym przypadkiem nie wygadał się z tem wobec pana inspektora podatkowego, który nawet adwokata się nie boi.

Na ogół zaznaczyć muszę, że w roku bieżącym grzeszono mniej obżarstwem, niż po inne lata, prawdopodobnie dlatego, by żołądka sobie nie zepsuć i nie musieć potem udawać się pod opiekuńcze skrzydła pana aptekarza, który z swej łacińskiej kuchni przygotuje ci jakiś smakołyk, ale każe sobie za niego bardzo słono zapłacić. Uważałem także, że przeważnie pito koniak „medycynalny", nie wiem tylko, czy tak nazwany z powodu swych leczniczych właściwości, czy też może z tego powodu, iż, po wypiciu go, trzeba wołać lekarza. Ja przypuszczam tę drugą ostateczność, po wypiciu go kręciłem bowiem językiem na wszystkie strony, choć przekonywano mnie, że nie znam się na tem, co dobre.

Ale ja już jestem taki, że wolę kielich dobrej starki, niż koniaku, choćby był nawet „medycynalny".

Podałem też raz rękę szczęściu i zagrałem sobie z przyjaciółmi w labeta. Fortuna uśmiechnęła się do mnie i kilka koronek wpadło do kieszeni, a i to coś warte na te ciężkie czasy. Współpartnerzy wyklinali mnie, że mam, jak mówili „krowi ogon", czyli szczęście w kartach, gospodarz patrzył na mnie z podełba, jakby chciał powiedzieć:

— Morderco!... Nie dość ci, żem cię nakarmił i napoił i to nie byle czem, ty jeszcze czynisz zamach na moją kieszeń?!...

Ale cóż ja temu jestem winien, że nie mam szczęścia w miłości? Tak przynajmniej mówi przysłowie, niechaj ma więc pretensyę nie do mnie, ale do jego autora.

Koniec końcem muszę przyznać, że świątecznego czasu nie zmarnowałem, jadłem wszędzie i piłem jak najęty, wiem bowiem, że gospodarze i gospodynie uważają to dla siebie za obrazę, jeśli gość grymasi, choć z drugiej znów strony jestem najmocniej przekonany, że nieraz, widząc wsuwającego z apetytem gościa, niejeden lub niejedna powie sobie w duchu:

— A bodajżeś się udławił! A to bestya nienażarta! Chyba tydzień przed świętami nic nie jadł...

Nawiązując jeszcze do pogody, jaką mieliśmy przez oba dni świąt Bożego Narodzenia, wypada wspomnieć, że wobec tego możemy się spodziewać lodu, mrozu i śniegu na Wielkanoc, jakiś tam bowiem meteorolog wynalazł przysłowie, które powiada: „Jeśli Boże Narodzenie po wodzie, Wielkanoc po lodzie".

Niezbyt to miła perspektywa, zwłaszcza, jeśli się zważy, że Wielkanoc tego roku przypada na sam koniec kwietnia, kiedy wiosna powinna już rozpocząć swe panowanie. Przepowiednie tego rodzaju nie sprawdzają się teraz z zasady, wobec czego nie należy tracić otuchy, że tak źle nie będzie. Zobaczymy zresztą, co powie niedźwiedź w dzień Matki Boskiej Gromnicznej, choć i on może się mylić.

O ile pamiętam, to górale zapowiadali, że tegoroczna zima będzie bardzo sroga. Jak dotąd nie odczuliśmy tego, więc bądźmy przygotowani na najgorsze, czyli, niech nikt ciepłem i odwilżą nie da się zbałamucić i nie zaniesie przypadkiem futra do lombardu, bo (wiem z własnego doświadczenia!) droga tam jest bardzo łatwa do przebycia, powrotna bardzo uciążliwa.

Przebyliśmy jednak jako tako rok wojny, może przetrwamy i zimę, choćby ona była nawet i bardzo przykra.

Z bólem serca zaznaczyć także muszę, że w roku Pańskim 1915 nie mieliśmy przed świętami Bożego Narodzenia ani jednej loteryi spożywczej na cele dobroczynne, wobec tego nie można było zaopatrzyć się za tanie pieniądze dajmy na to w zająca (niezbyt pachnącego), pulardę, która zakończyła żywot na uwiąd starczy, lub butelkę wina, które ma to do siebie, iż o winogronach nigdy nie słyszało, dobrze natomiast świadczy o rozwoju krajowego przemysłu chemicznego.

Co było powodem zaniechania urządzenia tych loteryi, nie wiem, być może wpłynęła na to także wojna i brak osób, któreby zajęły się pracą w komitecie, choć z drugiej znów strony wiem, że kandydatów i kandydatek na komitetowych nigdy u nas nie brakuje. Mamy ich zawsze tyle, iż moglibyśmy z łatwością pokryć nawet obce zapotrzebowania.

Także i tradycyjnych „opłatków" w różnych instytucyach było mało. A wielka szkoda, bo to człowiek płacił wpisowego trzy korony, jadł i pił co najmniej za sześć, a czasem przyniósł nawet w kieszeni jaką butelczynę dla żony i dzieci, by i rodzina coś z tego liznęła.

Zastój więc ogólny, humory skwaszone, a znawcy stosunków społecznych powiadają, że będzie jeszcze gorzej, wiemy już bowiem całkiem pewnie, że moratoryum dyabli biorą. Od dnia 20 go stycznia wolno już upominać się o długi, skarżyć je natomiast wolno będzie dopiero po pierwszym kwietnia.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył X. Y., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą życzenia dla P. T. Czytelników.

O—a
I–a
o–h
A—a
k–s
o–ć
E–i
m–ś
E–a
R—n
a–a
n—c
I—n
k–s
i–a
s–n
e—o
r–k
k–a
m–c
o—o
m–r

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Co, astronom Zdzich Goete chce wić nić do nd?

Trójkąt magiczny.
Ułożył F. Wiewiórski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę miasta w Azyi.

□ □ □ □ □ □ □
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię męskie. 3 Postać z Biblii Starego Zakonu. 4. Miejsce pierwszego cudu Chrystusa. 5. Miasto w Rosyi. 6. Zaimek osobisty. 7. Samogłoska.

Łamigłówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A, a, a, ę, ę, k, ł, n, w, w.

Grzebieniówka.
Ułożył R. Belka. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu (w rzędach pionowych) Litery, wstawione w miejsce kwadratów, podadzą nazwę dwu wodzów z czasów wojen punickich

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Gwałtownz wicher. 2 Pierwiastek (nazwa łacińska) 3 Imię toreckie 4 Państwo europejskie. 5. Miasto greckie w Azyi Mniejszej 6. Ubiór polski. 7. Swiątynia w Rzymie. 8. Napój chłodzący.

Szarada.
Ułożył H. M., Kraków.

Pierwsza z drugiem dowiedzie,
Dlaczego *całość* w biedzie.

Logogryf.
Ułożył E. Jarzyna, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę polskiego jenerała z czasów powstania listopadowego.

— – □ — —
— □ —
— — □ — —
— □ — —
— — □ — —
— □ — —
— — □ — —
— □ —

Znaczenie wyrazów: 1. Potrawa. 2. Część drzewa. 3. Ptak. 4. Wyrób z konopi. 5. Inaczej posłowie. 6. Chwast. 7. Ptak. 8. Instrument muzyczny.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H. M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Od jadn cąbra pała młyn, a padalec je okaz i żyłę.

Szarada.
Ułożył H. M., Kraków.

Pierwsze, drzew dużo,
Litera *druga,*
Całość nie wielka,
Ale dość długa.

Bilety wizytowe.
Ułożył R. Belka, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

MIK. NASETNICKI.

RYSZ. A. AL. MARATT.

ARTUR STEFAN LELY.

MAREK JAKSA RYZŁOW.

ARON NIKE.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Koriuma:* **Jobsiada.** Epos komiczne. Przekład M. Konopnickiej.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 51.

Trójkąt magiczny:

C h m i e l n i c k i
H e r a k l i u s z
M a k s y m i a n
I r e n o p o l
E u r o t a s
Ł a m b d a
N e c h o
I r y s
C a l
K p
I

Szarada: Jamajka.

Łamigłówka literacka:

Białe pawie.
Opiekun w zalotach.
Lekkomyślna siostra.
Emigracya chłopska.
Sobowtór.
Łobzowianie.
Antkowe wesele.
W porę.
Idealiści.
Teatr amatorski.
Aszantka.

Zadanie do przestawienia: Uczył Marcin Marcina, a sam głupi jak świnia.

Szarada: Klejnoty.

Logogryf:

H e l w e c y a
K a m b y z e s
G e n z e r y k
K o r n e l i a
W i r g i n i a
T r a z y b u l
K o r y o l a n
T a r n o p o l

Zadanie do przestawienia: Gdzie cienko, tam się rwie.

Bilety wizytowe: Przeorysza. Rekwizytor. Sprawozdawca. Minister resortowy. Podoficer rachunkowy.

Okienko:

S o c z a
o e a
c e z a r
z a a
a a r o n

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Gulński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, R. Królicki Krościenko n. D., M. Zielińska Przemyśl, H. Rosenbaum Lwów, Z. Szymanek Nowy Sącz, H. Królicki Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Błoński Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Na targu.

— Moja kobieto, czy ten kogut jest zdrów?
— Naturalnie!
— Możecie mi zaręczyć?
— Co to, to nie! Dziś za rodzonego męża nie można ręczyć, czy zdrów, a cóż dopiero za głupiego koguta!

U fabrykanta parasoli.

— Przepraszam, czy zastałem pana szefa?
— Nie mogę służyć!... Wyszedł właśnie do kościoła prosić Pana Boga o deszcz, bo u nas już od miesiąca ciągła pogoda i wobec tego zastój w interesie!

Niepocieszony.

(Rozmowa dwu przyjaciół).

— Rozumiem i pojmuję pańską boleść!... Stracić żonę po trzydziestoletniem pożyciu małżeńskiem, to doprawdy straszne...
— Tak, tak, łaskawy panie! I to do tego teraz, gdy się zacząłem już do niej przyzwyczajać!

W szkole.

— Powiedzcie mi, moje dzieci, co to za zwierzę, które dostarcza nam mięsa, butów?... — pyta nauczyciel.
— Mój tatuś! — woła z ostatniej ławy mały Jaś.

Na pensyi.

— Jak długo żyli ze sobą Adam i Ewa w raju?
— Dopóki jabłka nie dojrzały! — odpowiada cztenastoletnia panna Jadzia.

Dziwna pretensya.

— Nie! Ja stanowczo dłużej nie mogę mieszkać w pańskim hotelu... Tutaj za ścianą w sąsiednim pokoju jest małe dziecko, które przez całą noc płacze, tak, że ja nie mogę zmrużyć oka...
— Dziwi mnie pańska pretensya... W tym samym pokoju, co to dziecko, mieszkają jego rodzice i nie narzekają ani słowem!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.